



Numer 35
Lato-Zima 2022
17 grudnia 2022



Rajd Jesienny 2022, Pieniny

Słowo od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Za nami kolejne lato i kolejna jesień w SKG. A trzeba przyznać, że działo się. Wiele rajdów, wycieczek, inicjatyw, manewry nizinne... No i tegoroczna perełka - po kilkuletniej przerwie rajd jesienny odbył się w końcu w tradycyjnej formie – wiele tras, jedno schronisko, wspólny wieczór przy dźwiękach gitary. W numerze przeczytacie krótką relację z tego wydarzenia. Poza tym niniejszy numer obfituje w relacje kursantów – poczytacie o zimówce 41. KPG, przejściu letnim 41. KPG, a także trzech pierwszych kursówkach 42. KPG. Miłej lektury! I oczywiście przypominamy, że teksty do kolejnego, czerwcowego numeru biuletynu można słać na adres e-mail: biuletyn@skg.uw.edu.pl. A gdyby tak ktoś miał ochotę włączyć się w działalność redakcyjną, to oczywiście zapraszamy serdecznie. Spokojnych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku życzy Redakcja!

Zespół redakcyjny w składzie:

- Joanna Gecow - Redaktor Naczelna
- Grzegorz Bokota - skład
- Ewa Janczarek – korekta

Tekstem zapełnili:

- Mikołaj Grzędzielski
- Joanna Gecow
- Julia Tabor
- Michał Kobryń

zdjęcie na okładce autorstwa Krzysztofa Klimkiewicza.

Spis treści

Słowo od redakcji	2
Kalendarium SKG	4
Kalendarium SKG	4
Z pamiętnika kursanta	5
Relacja z przejścia zimowego	5
Relacja z przejścia Letniego	8
Relacja z Kursówek	9
Bieżąca działalność Klubu	14
Relacja z Rajdu Jesiennego	14

Kalendarium SKG

Lato, jesień i zima 2022 roku w SKG

Czerwiec i lipiec

29-31.07 – Ponidzie i Płaskowyż Jędrzejowski rowerowo – Paulina Kocot

30.06-2.07 - rozkładanie bazy namiotowej SKG „Madejowe Łoże”

Sierpień

11-21.08 - Przejście Letnie 41. KPG; Rumunia; Instruktorzy: Michał Wangrat, Marek Paleski i Dorota Wieluńska

13-15.08 – Rowerem przez Pogórze Szydłowskie i nie tylko – Paulina Kocot

Wrzesień

2-4.09 – składanie bazy namiotowej SKG „Madejowe Łoże”

17-18.09 – Rajd „Przywitanie jesieni z muzyką” w Beskidzie Żywieckim – Mirosław Sidorowicz

23-28.09 – Samochodowy wypad „Słowacka złota jesień” – Dorota Wieluńska i Marcin Lelit

Październik

7-9.10 – Rajd jesienny w Pieninach, po kilku latach przerwy wreszcie duży rajd z ześrodkowaniem w jednym schronisku (GOSW Pod Durbaszką) i 5 tras do wyboru (w rajdzie wzięło udział 70 osób, w tym 11 dzieci w wieku 2,5 miesiąca-5 lat): „Miła choć ambitna” Magda Czarnecka i Michał Wangrat „Pieniny THE BEST OFF” Ewelina Różańska-Sonti i Venky „Po zdrowie” Franciszek Kowalski

i Stanisław Bartha w ramach praktyki przewodnickiej „Pieniny i Homole” Marcin Lelit w ramach praktyki przewodnickiej „Rodzinne wędrowanie” Joanna i Marcin Gecow

15-16.10 – Manewry Nizinne I

22-23.10 – Manewry Nizinne II

26.10 – Startuje 42. Kurs Przewodników Górskich SKG

Listopad

11-13.11 – I kursówka 42. KPG – Beskid Niski. Mirek Sidorowicz i Dorota Wieluńska

18-20.11 – II kursówka 42. KPG – Beskid Sądecki. Michał Bekey i Paulina Kocot

25-27.11 – III kursówka 42. KPG – Gorce. Michał Strzelczyk

Grudzień

3-4.12 – Rajd Mikołajkowy w Góry Świętokrzyskie – Paulina Kocot

2-4.12 – IV kursówka 42. KPG – Beskid Niski. Tomek Weksej, Dorota Wieluńska i Magda Czarnecka

9-10.12 – V kursówka 42. KPG – Bieszczady. Jędrzej Witkowski, Mirosław Sidorowicz i Dorota Wieluńska

16-18.12 – VI kursówka 42. KPG – Pieniny i Magura Spiska. Marek Paleski

17.12 – Wigilia klubowa SKG w Lesie Młocińskim

■

Relacja z przejścia zimowego

41. Kursu Przewodników Górskich SKG (12-18 lutego 2022)

Mikołaj Grzędzielski

sobota 12 lutego

Zaczął się prawie dokładnie po północy, kiedy to nasz pociąg relacji Gdynia Główna – Krynica ruszył z Dworca Centralnego. Trójka instruktorów – Michał, Magda i Marek – oraz jedenaścioro kursantów – ja, Staszek, Alicja, Piotrek, Tomek, Marysia, Ania, Przemek, Emma, Mateusz i Franek. Kolejne dwie osoby o jakże nieoryginalnych w tym gronie imionach, ale wykonujące ważny społecznie zawód – Tomek i Mateusz – miały w planach dołączyć już na miejscu. Łącznie zajęliśmy nieco ponad dwa przedziały zdeklasowanego wagonu pierwszej klasy i poświęciliśmy się czasowi wolnemu. Niektórzy z nas spali, niektórzy przygotowywali się do egzaminu zejściowego, optymistycznie zakładając, że dotrważą do końca wyjazdu, co niekoniecznie musiało być prawdą. Około godziny 7 rano, kiedy przemierzaliśmy już tereny pogórzy zbliżając się do docelowego Beskidu Niskiego, obudziło nas poranne słońce, jak gdyby zapowiadając wyjątkowo łaskawą pogodę, jaka miała nas spotkać podczas właśnie rozpoczynającego się wyjazdu. Koło godziny 8 rano dojechaliśmy do Nowego Sącza, gdzie czekał na nas wynajęty autobus do Krempnej. Nieco okrężną drogą przez Gorlice, Biecz i Nowy Żmigród dotarliśmy do celu. Krajobrazy za oknami zabieliły się. Za przełęczą Hałbowską wjechaliśmy na teren Magurskiego Parku Narodowego, aby zgodnie z planem przed godziną 10 rozpocząć część autokarową naszej wycieczki, której pierwszym punktem było zwiedzanie cerkwi w Krempnej, a kolejnym cmentarz wojenny. Administracyjnie znajdowaliśmy się na Podkarpaciu, geograficznie w Beskidzie Niskim, etnograficznie na Łemkowszczyźnie, a historycznie w Małopolsce.



Niestety mimo ładnej, słonecznej pogody pewna część mieszkańców Małopolski nie będzie wspominać tego dnia najlepiej. Tego dnia bowiem Wisła Kraków przegrała ze Stałą Mielec w meczu ekstraklasy. Stało się tak pomimo bojowej postawy przedstawicieli plebanii z Krempnej.

Po obejrzeniu cerkwi od zewnątrz udaliśmy się na Cmentarz Wojenny numer 6. Ten liczący około 106 lat

obiekt został zaprojektowany przez Duszana Jurkowicza i znajduje się nieopodal dyrekcji Magurskiego Parku Narodowego. Następnie czekał nas maraton cerkwi – Świątkowa Mała, Świątkowa Wielka i Kwiatów. Ten etap naszej wycieczki został zakończony lunchem w miejscowości Grab, który skonsumowaliśmy średnio późnym popołudniem, pomiędzy godziną 14 a 15. Grupa jedzeniowa uraczyła nas pierogami, co stanowiło miłą niespodziankę. Zaznaczyć należy, że kwestia jedzenia na naszym przejściu zimowym zasługuje na odrębny esej.

Następnie, nieco po godzinie 15, na dokładnie 4 dni zerwaliśmy wszystkie więzy z cywilizacją. Koło 17.30, kiedy przedzieraliśmy się przez gęstą buczynę karpacką nieopodal pipanta 667, zapadły ciemności. Mróz przybierał na sile i Beskid przynajmniej na chwilę przypominał przybyłym z Warszawy kursantom, jaką mamy porę roku. Krażyliśmy po lesie jeszcze przez parę godzin, żeby ostatecznie rozbić obozowisko na północ od Dębiego Wierchu. Była to zdecydowanie najzimniejsza noc. Był to zarazem najtrudniejszy nocleg.



niedziela 13 lutego

Długie, czarne i lipne – tak można by określić nasze chodzenie w niedzielę 13 lutego. A konkretniej Długie, Czarne i Lipna, bo tak nazywały się nieistniejące już łemkowskie wsie, które odwiedziliśmy tego dnia.

Tradycyjnie nie wyruszyliśmy tego dnia zbyt wcześnie, mimo że na nadmiar snu również nie mogliśmy narzekać. Gdy wyszliśmy z lasu, schodząc po grzbiecie na przełęcz w Długim, przypomniał nam o sobie kolejny żywioł – wiatr. Do wiatru dołączyły pogubione kompasy i wesołe śpiewy. Kilka godzin po zmroku dotarliśmy jednak do docelowego miejsca. Nocowaliśmy na szczycie góry. Rozpalenie ogniska wymagało wysiłku, ponieważ miąższość pokrywy śnieżnej przekraczała 60 centymetrów. Pozytywną stroną tego stanu rzeczy był brak konieczności poszukiwania źródła wody. Mimo że byliśmy na szczycie, buczyna karpacka okazała się być na tyle gęsta, że nie narażała nas na podmuchy wiatru.

poniedziałek 14 lutego

14 lutego to dzień świętego Walentego, patrona epileptyków i zakochanych. Większość z nas nie lubi poniedziałku. Dla uczestników naszego przejścia zimowego ten dzień był jednak jak najbardziej pozytywny. Po pierwsze, dołączyło do nas dwóch kolejnych uczestników o nieoryginalnych imionach, ale jakże oryginalnych osobowościach – Tomasz i Mateusz. Pierwszego z nich spotkaliśmy już w trakcie śniadania, natomiast Mateusza przy jednym z cmentarzy wojennych. Zanim jednak miało to miejsce, mimo silnego wiatru zeszliśmy do miejscowości Konieczna, gdzie dane nam było odwiedzić cerkiew. Po cerkwi czekał nas wielobój złożony z dwóch cmentarzy wojennych i sporego kawałka gór pomiędzy nimi. Przy czym obiadowe tortille konsumowane na paśmie granicznym umiłał nam przepiękny zachód słońca. Gdy tarcza słoneczna opuściła nieboskłon, my opuściliśmy pasmo graniczne i skierowaliśmy się na północ.

Drugi z rzeczonych cmentarzy to cmentarz na Rotundzie, chyba najważniejsze z arcydzieł Duszana Jurkowicza. Jako że zimą zmrok zapada tuż po 17, również to miejsce odwiedziliśmy w ciemnościach i zrobiło na nas niesamowite wrażenie. Ta drewniana budowla już od ponad 100 lat przypomina turystom o historii tych miejsc. Wieczór tego dnia stanowił pewną namiastkę zetknięcia z cywilizacją. Tętniąca życiem w sezonie baza w Regietowie okazała się być opuszczona. Obecność naszej grupy zmieniła jednak ten stan na czas nocy i poranek.

wtorek 15 lutego

Legendy głoszą, że w dawnych czasach zbójników karpackich wieszano za ostatnie żebro. Dla turystów pokonujących Główny Szlak Beskidzki jednym ze szczytów po drodze jest natomiast Kozie Żebro, w którego pobliżu przeszliśmy we wtorkowy wieczór. Na szczęście według naszej wiedzy nikogo tego dnia nie powieszono, choć na tym etapie wycieczki, wysłuchawszy wielu wspaniałych referatów, wszyscy zdawali sobie sprawę z trudnej historii tych ziem. Moje wieczorne prowadzenie odznaczało się odkryciem domniemanych okopów z pierwszej wojny światowej właśnie w okolicach Koziego Żebra.

Chodzenie dla prawie wszystkich uczestników wycieczki zakończyło się dokładnie o godzinie 21.37 w agroturystyce w Hańczowej. Była to w pewnym sensie niespodzianka, ponieważ kursanci do ostatniej chwili nie podejrzewali, że to nastąpi, a ciepły nocleg absolutnie nie stanowi żadnej reguły. Raczej należy rozumieć ten fakt jako pozytywne zrządzenie losu.

“Za oknami noc, w górach śniegu moc okrywa

wszystko” – tę znaną pieśń genialnego Wojciecha Młynarskiego nucili kursanci, idąc rozciągającą się grupą. Jakże dokładnie oddawały te słowa aktualną rzeczywistość. “Czort jedyny wie, co rzuciło mnie w to uzdrowisko” – to pytanie zadawali sobie wszyscy. Czemu po czterech dniach chodzenia po najdzikszych górach w Polsce znaleźliśmy się nagle na chodniku oddzielonym od asfaltowej szosy wysokim krawężnikiem? Nie był to bynajmniej najweselszy fragment wycieczki, ponieważ owocował w przynajmniej jedną kontuzję. Tak zapamiętaliśmy naszą wizytę w Wysowej-Zdroju. Dalej było już tylko lepiej – gdy osiągnęliśmy Hańczową, mogliśmy się wdać w liczne dyskusje oraz zagłębić w referaty dotyczące między innymi historii walk w ramach operacji dukielsko-preszowskiej z września 1944 roku. Nasze przejście zimowe mimo niższych temperatur nie niosło ze sobą na szczęście tyłu ofiar w ludziach. Cóż, wyraźnie generał Kirył Moskalenko mógłby tego pozazdrościć naszym instruktorom.



We wcześniejszych godzinach tego dnia, niebawem po wyruszeniu z Regietowa, spotkały nas manewry ogniowe. Zagotowanie menażki wody zajęło nam wszystkim nie mniej niż 21 i nie więcej niż 37 minut, co zostało uznane przez instruktorów za bardzo dobry wynik. Degustacja w tak szybki sposób ugotowanej herbaty spotkała się z dyskusjami o Juliuszu Cezarze i rdzennych mieszkańcach obu Ameryk. Niestety zachmurzenie nie pozwoliło nam podziwiać uroków najpiękniejszej doliny w Beskidzie Niskim. Być może ta refleksja zachęci niektórych z nas do ponownego przyjazdu na przejście zimowe bądź zorganizowania rajdu w okolicach Regietowa, jak tylko uzyskamy upragnione blachy przewodnickie.

środa 16 lutego

Środa to według niektórych środek tygodnia (o ile tylko za pierwszy dzień przyjmujemy niedzielę, a za ostatni dzień sobotę). Środa 16 lutego była natomiast symbolicznym środkiem i kulminacją naszego wyjazdu. Tego dnia przypadała pełnia księżyca. Tego to dnia zdobyliśmy najwyższy punkt naszej wycieczki, będący jednocześnie najwyższym szczytem Beskidu Niskiego. Ten epicki moment nastąpił jednak dopiero po zmroku.

W pierwszej części dnia, mniej więcej koło godziny 13, zdarzyło nam się odwiedzić prawosławną cerkiew w Hańczowej. Było to miejsce, w którym nasza wiedza odnośnie do drewnianego budownictwa sakralnego została wystawiona na próbę. Dowiedzieliśmy się, że ikonostas nie oddziela, tylko odgradza strefę niebiańską od ziemskiej, a prawosławna wielkanoc jest obchodzona w bardziej optymalnym terminie względem hebrajskiego kalendarza księżycowego niż wielkanoc katolicka. Wyposażeni w wiedzę, która pozwalała nam odróżnić Chrystusa Nauczającego od Chrystusa Pantokratora, wyciągnęliśmy kompas i ruszyliśmy na południe.

Po zdobyciu Lackowej porzuciliśmy jednak tkwiącą w nas wysokopoziomą duchowość i skierowaliśmy się najkrótszą możliwą drogą do najbliższej doliny. Nie była to jednak byle jaka dolina. Koło 3 w nocy, kiedy większość uczestników wyjazdu smacznie spała, opuścili nas instruktorzy – Michał i Magda – oraz jeden z Mateuszów.



czwartek 17 lutego

Zdecydowanie najcięższy dzień pod względem topografii i pogody. Piękna, słoneczna zima z lekkim mrozem, skrzypiącym śniegiem, słońcem od świtu do zmroku oraz księżycem w pełni przez większość nocy, ustąpiła miejsca szaremu i mokremu przedwiośniu. Podczas porannych omówień zaczął padać deszcz i towarzyszył nam niestety dość często przez resztę kończącego się już wyjazdu.

Miejsce, w którym spędziliśmy poprzednią noc, zasługuje jednak na większą uwagę. Jedną z najwyższych położonych dolin w Beskidzie Niskim była miejscem, w którym istniała kiedyś łemkowska wieś Bieliczna.

Miejscem naszego obozowania były okolice kościoła mieszczącego się w dawnej, murowanej cerkwi, blisko potoku.

Po wyruszeniu z Bielicznej dodatnią temperaturę i lepki śnieg wykorzystaliśmy do ulepienia pamiątkowego bałwana. Mimo zmiany warunków meteorologicznych godziny leciały szybko i nawet nie zorientowaliśmy się, jak zapadły ciemności. Po pożywnym obiedzie, niebawem po godzinie 18, ruszyliśmy w dalszą trasę. Każda następna godzina stawała się coraz bardziej wymagająca. Mieliśmy więc okazję, aby sprawdzić naszą wytrzymałość. Wreszcie nadszedł czas na wymagający topograficznie teren, jakim były niezliczone pipanty grzbietu Siwejki. Doprowadziło to do długiej serii nocnych prowadzeń – czyli coś, co SKG lubi najbardziej.

Ostatnim problemem, który wynikł tego dnia (choć data była już już dobrze piątkowa), był brak kielbasy do kolacji, choć niektórzy by pewnie dyskutowali, czy ten posiłek bardziej zasługiwał na miano śniadania. Problem kielbasy został rozwiązany przez dodanie kabanosów. Komfort snu tej nocy był nieco niższy niż wcześniej ze względu na brak śniegu izolującego namioty od nierównego podłoża. Poszliśmy spać wcale nie tak późno, bo w okolicach godziny 4.30. Tym samym wyczekiwana przez mniejszość kursantów (i przeklinana przez większość kursantów) łojodoba nie odbyła się.

piątek 18 lutego

Najkrótszy dzień. Ze względu na to, że czwartkowa wycieczka przeciągnęła się do późnych godzin nocnych, pierwsi kursanci obudzili się dopiero o godzinie 9.30, podczas gdy zazwyczaj wstawaliśmy o świcie, czyli 6.30-7.00. Nazwy takie jak Chłopski Wierch rozpały wyobraźnię i mimo zimy w kalendarzu kojarzyły się z taką porą roku jak babie lato. Skojarzenie o tyle trafne, że tego dnia wycofywaliśmy się z gór, pełni smutku, że niestety wyjazd się kończy, a krajobraz zmieniał się w oczach. Nic nie przyszło jednak zbyt łatwo. Straciliśmy sporo czasu na sforsowanie wzburzonej przez roztopiony wód rzeki Białej. Na szczęście obyło się bez większych przygód i nikt nie musiał zażywać przymusowej kąpieli. Po długich poszukiwaniach ostatecznie stanęło na przejściu przez niezbyt szeroki mostek, na którym nakręciliśmy różne filmy. Na wyczekiwaną przez nas cerkiew w Brunarach i cmentarze zaprojektowane przez Hansa Mayra niestety nie starczyło już czasu. Nagrodą za naszą wytrzymałość była pizza w niewyobrażalnej cywilizacji, jaką stanowił dla nas Nowy Sącz – miasto powiatowe, a niegdyś miasto wojewódzkie.

sobota 19 lutego

Ostatni dzień wyjazdu rozpoczął się w hostelu ukrytym głęboko w dolinie Dunajca, hostelu w Nowym Sączu. Plan dnia był niesamowicie spokojny, porównując go do całego poprzedniego tygodnia – egzamin, spacer po historycznej części miasta i obiad w cywilizowanej restauracji. A około godziny 17 pociąg do Warszawy, który w okolicach północy szczęśliwie dowiózł nas na miejsce zgodnie z planem. ■

Relacja z przejścia Letniego

Julia Tabor

„Wyobraź sobie, jak wspaniale może być w górach przypominających nieco nasze sympatyczne Bieszczady, lecz niemal dwukrotnie wyższych. Jeśli marzy Ci się wielka przygoda na rozległych połoninach, ten wyjazd jest dla Ciebie!” – przeczytałam przelotnie w poście na Facebooku. Wizja ta była na tyle kusząca, że zatrzymałam przeglądanie, a w głowie pojawiły się obrazy wędrówek wśród rozciągających się wokół pasm górskich i blasku ogniska. Nie bacząc na fakt, że pierwszy raz widziałam nazwę SKG i nic nie wiedziałam o tego typu wyjazdach (moja wyobraźnia nie uwzględniała 17-kilogramowego plecaka czy mycia menażki herbatą, czego miałam doświadczyć później), pomyślałam, że jak nie teraz, to nigdy, i wysłałam maila z chęcią zapisu.



Po pierwszej fazie ekscytacji i przeglądania w Internecie zdjęć Karpat Południowych, nastąpiła druga faza, którą nazwę tutaj roboczo fazą zbrojenia. 1/3 rzeczy z listy przesłanej przez organizatorów nie znajdowała się w moim posiadaniu, rozpoczęłam więc rajd po znajomych i rodzinie, żeby znaleźć wszystkie elementy wyposażenia – stuptuty, kijki, czołówka – wszystko to, czego do tej pory w moich wędrówkach „na lekko” raczej nie używałam. Kupiłam też porządną plecak i postanowiłam zrobić próbę obciążeniową wpychając do niego około 15 kg płynów do prania i ciężarków do ćwiczeń. Spacer po pobliskim lesie w pełnym rynsztunku wyznaczył przejście do fazy trzeciej – lekkiej paniki i zwątpienia. Wszystkie wątpliwości, które wcześniej mój umysł przejęty przygodą odsuwał, nagle zaczęły dobijać się ze zdwojoną mocą. Czy dam radę wspinać się z takim obciążeniem? Co, jak będę spowalniać grupę? Jak to nie będziemy się myć przez ponad tydzień? A co, jak się upokorzę, bo od dawna nie rozkładałam namiotu? Jeżeli dodać do tego fakt, że nie znałam żadnego z uczestników, można śmiało stwierdzić, że ostatnie dni przed wyjazdem przeżyłam w sporym napięciu.

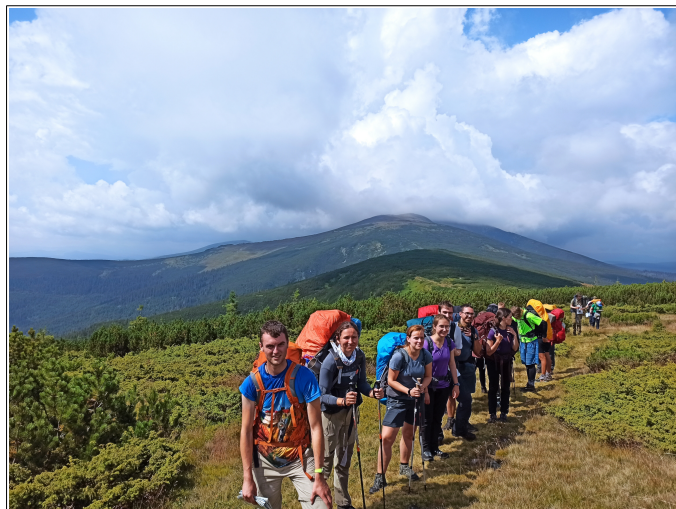
Nadszedł 10 sierpnia i, chcąc nie chcąc, stawiałam się na Dworcu Zachodnim z moim 8-kilogramowym plecakiem, do którego zaraz miałam dopychać kolejne 7

kg jedzenia i sprzętu wspólnego, a następnie pakować się do FlixBusa na całonocną przejażdżkę do Budapesztu, a stamtąd z kolei całodniową do Sybina. Wraz z upływem kolejnych godzin podróży kłębek nerwów w mojej klatce piersiowej rozplątywał się, w miarę jak poznawałam fantastyczne osoby, z którymi miałam spędzić następne 12 dni. Niektórzy mniej, inni bardziej doświadczeni w górskich wyprawach, ale wszyscy niesamowicie pozytywni i otwarci. 26 godzin podróży upłynęło zaskakująco szybko i w piątek 12 sierpnia wyruszyliśmy na zwiedzanie głównego miasta Siedmiogrodu. Widzieliśmy piękny skansen Astra, cerkiew, wieżę ratuszową i wiele innych atrakcji. Dało się jednak wyczuć w grupie wyczekiwanie na ucieczkę od cywilizacji w dzikość gór. Kolejnego dnia opuściliśmy Sybin, żeby przez dwie malownicze miejscowości Cisnădie i Cisnădioara dostać się do punktu początkowego naszego marszu.



Już pierwsze kilometry w Górach Sybińskich zapowiadały niesamowite widoki. Do tego prawie całkowicie zarezerwowane dla nas – na trasie oprócz pasterzy spotkaliśmy w ciągu całego wyjazdu tylko kilka osób. Zachwyt nad krajobrazami przeplatały zupełnie dla mnie nowe doświadczenia – gotowanie na ognisku, ból ramion, obrona przed psami pasterskimi czy szukanie wody w jarach. Pierwszy dzień zleciał bezproblemowo, wspięliśmy się na górę Dragut i dalej wędrowaliśmy na zachód napędzani świeżą energią. Drugiego dnia przewyższenia stały się większe, a plecak zaczął nieco ciążyć na moich nieprzyzwyczajonych plecach i pojawiło się kilka krzysowych momentów. Może to kwestia przyzwyczajenia, a może większego zżycia z grupą i coraz piękniejszych widoków, ale od trzeciego dnia negatywne myśli praktycznie zniknęły. Od niewygód odwracały uwagę pola jagód, zapierające dech wschody słońca i grzyby wielkości głowy. 14 sierpnia zdobyliśmy najwyższy szczyt wyprawy – Cindrel o wysokości 2244 m n.p.m. (niektórzy nawet biegiem), a kolejnego jedynie o dwa metry niższy Steffesti, leżący już w łańcuchu gór Lotru. Od tamtej pory wędrowaliśmy grzbietem tych ostatnich, wydając z siebie nieskończoną liczbę ochów i achów w reakcji na rozciągające się po horyzont pasma górskie. Nasza trasa wiodła przez szczyty Balindru Mare, Negovanu Mare, aż do mojego ulubionego z całej wyprawy

Sterpului, z którego rozciągały się tak niesamowite widoki, że aż ciężko było oderwać wzrok. Oczywiście oprócz momentów tryumfu zdarzało się też przedzieranie przez kosodrzewinę, błąkanie w jarze i spanie w ulewie, ale już w trakcie tych czynności wiedzieliśmy, że powstaną z tego wspaniałe wspomnienia i morale bywało na tyle wysokie, że zaskakiwało samych przewodników.



Zejscie z powrotem do cywilizacji nie było przyjemnym doświadczeniem. Coraz bardziej utwardzona i szeroka ścieżka przypominała nam o rzeczywistości czekającej za leśną barierą. I tak 19 sierpnia zakończyła się właściwa część naszej wyprawy i pozostał już tylko powrót, najpierw do Sybina, potem do Budapesztu i wreszcie do Warszawy.

Na koniec tego przydługiego tekstu chciałabym dodać jeszcze kilka kliwych podziękowań. Po pierwsze, chciałabym zachęcić wszystkie wahające się osoby do wzięcia udziału w takiej wyprawie, jeżeli tylko będziecie mieli kiedyś okazję, bo naprawdę warto. Po drugie, chciałabym podziękować wszystkim za tak otwarte przyjęcie niedoświadczonego waleta (czy też damy) do grupy i wspólne przeżycie tej przygody. Na koniec chciałabym podziękować każdemu nieco bardziej z osobna:



Emmie, Frankowi, Staszku, Rafałowi i Piotrowi – za zorganizowanie tak wspaniałego wyjazdu i dawanie z siebie 110

Dorocie, Markowi i Michałowi Wangratowi – za rzetelne odpowiadanie na moje często trywialne pytania i inspiracje do dalszych podróży i wędrówek;

Adzie i Magdzie – za bycie świetnymi współlokatorkami namiotowymi;

Monice i Danielowi – za umilanie mi czasu na pozycji zamka swoimi staromałżeńskimi sprzeczkami;

Michałowi Wyrobie – za to, że nawet przy ciągłych zmianach pogody i krajobrazu, zawsze stałym elementem była sylwetka Michała polującego na jagody;

Marysi, Jankowi i Mateuszowi – za dzielenie się ze mną wszystkim: od łyków kawy i kisielku po mydło i kable do telefonu;

Zosi – za wspólne zdobywanie wszystkich skał i dotrzymywanie mi towarzystwa w marszu;

oraz Tomkowi – za bycie najlepszym towarzyszem gotowania, nauczycielem górskich umiejętności oraz ogólne bycie złotym człowiekiem. ■

Relacja z Kursówek

Michał Kobryń

Kursówka 1 – Ta najcieplejsza

Pierwszy wyjazd kursowy. Jedziemy w Beskid Niski. Na twarzach kursantów malowała się niepewność. Nikt nie wiedział, czego można się spodziewać. No może poza kilkoma bardziej doświadczonymi osobami, które pojechały razem z nami. Sam też podejrzewałem, co może mnie czekać po tym, jak brałem udział w Rajdzie Jesiennym. Jednak nie ma co ukrywać, było to trochę stresujące przeżycie. W góry jeździłem często, ale nigdy w tak dużej grupie. Co więcej, nigdy nie musiałem prowadzić grupy jako przewodnik, a wiedziałem, że w czasie tego trzydniowego wyjazdu taka okazja prawdopodobnie się nadarzy.

Trasę rozpoczęliśmy w Sękowej. Ruszyliśmy spod pięknego kościoła pw. Świętego Jakuba i Filipa, który cały jest obłożony gontem. Z początku, prowadzeni

przez instruktorów, nie musieliśmy się obawiać tego, że się zagubimy. Gdy tylko znaleźliśmy bardziej odsłonięte miejsce, zatrzymaliśmy się, żeby nauczyć się robienia panoramek oraz posługiwania się kompasem w praktyce. Pogoda dopisywała. Słońce było wtedy jeszcze schowane za chmurami, ale mrozu nie doświadczaliśmy. Widoczność bardzo dobra. Muszę przyznać, że zasada działania kompasu była mi doskonale znana, ale jednak z początku miałem problemy z jego wykorzystaniem. Z pewnymi trudnościami udaje się w końcu ustalić, jakie szczyty są widoczne na horyzoncie. Wtedy jeszcze tego nie jestem świadomy, ale panoramki staną się moim ulubionym elementem kursówek.

To jest ten moment. Zaczynamy prowadzić my – kursanci. Z początku wybrany zostaje ktoś bardziej doświadczony, ale już wiem, że to jest ten moment, kiedy musimy zacząć bardziej się skupiać na mapie i

kompasie, by mieć świadomość tego, gdzie jesteśmy. Nikt z nas nie wie, czy za chwilę nie obejmie prowadzenia grupy. Zaczęliśmy zdobywanie pierwszych szczytów. Na początek Bartnia Góra, którą udało się zdobyć bez większych problemów. Tam dowiadujemy się, jak szczyty potrafią nas zmylić, gdy dwa znajdują się obok siebie. Następnie strome zejście i marsz w stronę Sołtysiej Góry. W przerwach na przekąski bierzemy udział w prostych grach integracyjnych, dzięki którym lepiej się poznajemy. Powoli nieznajomi uczestnicy zaczynają zamieniać się w koleżanki i kolegów z kursu. Na Sołtysiej Górze po raz pierwszy możemy poczuć się nieco zagubieni. Nie wszyscy są pewni tego, gdzie się znajdujemy. Na szczęście instruktorzy wszystko cierpliwie nam tłumaczą. W końcu to pierwszy wyjazd kursowy. Mamy tu jeszcze sporo miejsca na pomyłki.



Na polanie pod Sołtysią Górą organizujemy pierwszy posiłek z ogniskiem. Uczymy się delegowania zadań. Grupa idąca do jaru w 2/3 składa się z osób bardziej doświadczonych, więc kwestia wody zostaje szybko rozwiązana. Ostatecznie przygotowanie posiłku opóźnia nam wizyta niespodziewanych gości. Na szczęście goście okazują się wyrozumiali i możemy dalej pracować nad ogniskiem... kilka metrów dalej. Dzięki cennym wskazówkom dosyć szybko udaje się nam je rozpalić. Niedługo potem możemy się rozkoszować pysznym makaronem pesto.

Po posiłku szybko zaczyna się ściemniać. Z polany ruszamy już właściwie z zapalonymi czółówkami. Schodzimy do wsi Bielanka przy akompaniamencie szczekających psów. Na szczęście mieszkańcy są do tego przyzwyczajeni, bo oprócz warczących zza płotu czworonogów nikt na nas nie zwraca uwagi. Trafia się również pierwszy strumień do przekroczenia. Wychodzimy z tego bez szwanku. W Bielance oglądamy kolejną świątynię, po raz kolejny w ciemności, ale co możemy poradzić... Taka pora roku, taki mamy klimat.

Ze wsi wychodzimy w stronę Wierchu. Nocne prowadzenia są trudne, ale dzielnie kroczymy, pokonując wszelkie przeszkody. Okazuje się, że określenie szczytów po ciemku jest znacznie trudniejsze niż można by przypuszczać, szczególnie gdy grzbiet góry jest dosyć wypłaszczony. Ostatecznie rozbijamy namioty nieopodal

i szykujemy się do pierwszego noclegu pod namiotami na kursie. Oczywiście wcześniej zjedamy kolację. Kolejna ekipa, która wyszła po wodę do jaru, bije rekordy prędkości w zdobywaniu wody. Sześć godzin snu wydaje się być dla nas niewystarczające. Z czasem przekonamy się, że to w zupełności wystarczy, choć pobudki nie będą najłatwiejsze.

Następnego dnia schodzimy na południowy wschód w stronę polany przy Cmentarzu Cholerycznym. Tam urządzamy sobie bardzo długą, ale jakże przyjemną panoramkę. Pogoda dopisuje w najlepsze. Słońce grzeje bardzo mocno jak na tę porę roku. Nim wszyscy określimy, jakie mamy szczyty przed sobą, zdejmujemy ciepłe bluzy i swetry, aż zostajemy w samych koszulkach z krótkim rękawkiem. Do tego rozpieszczają nas fantastyczne widoki na masywy górskie znajdujące się na południu. Jesteśmy w stanie dostrzec stąd nawet Busov znajdujący się 20 km od nas. Oprócz panoramki liczymy przebyte GOTy. Wszystkie obliczenia robię na dłoni. Ostatecznie jest to najbardziej podręczna kartka, jaką miałem przy sobie, a i miałem pewność, że jej nie zgubię.

Dalej ruszyliśmy w bardzo dobrych nastrojach. Humory dopisywały. Między uczestnikami było słychać liczne śmiechy i rozmowy. Takie nastroje towarzyszyły nam już przez większość wyjazdu. Nie przeszkadza nam przechodzenie przez krzaki czy gubienie się przy zejściu z Góry Łysiec. Przerwy są związane już nie tylko z posiłkami, ale również z ciekawymi gawędami, które opowiadamy sobie wzajemnie. Schodzimy do wsi Kunkowa. Moglibyśmy obejrzeć kolejną cerkiew, ale zobaczylibyśmy tyle co w poprzednich, ponieważ ciemność spowiła już cały Beskid Niski.



Idziemy dalej w stronę wzniesień znajdujących się na wschód od Kunkowej. Mamy okazję przemierzać omglone pola w świetle gwiazd i księżyca. Żaden z telefonów nie był w stanie oddać piękna tego obrazka. Po dotarciu na ostatni nocleg grupa wyznaczona do znalezienia wody po raz pierwszy nie ma nikogo doświadczonego w składzie. Wieczorna grupa jarowa złożona z nowych kursantów przekonuje się na własnej skórze o tym, że nie zawsze w jarze woda będzie spływać pięknym strumieniem, pod który wystarczy nachylić tylko szyjkę butelki. Nie każdy jar jest na tyle płytki, że wyjście z niego z pełnymi

butelkami wody będzie błahostką i zwykłym podejściem pod górę. Mimo trudności grupa wraca z wodą po ponad godzinie – cała, zdrowa i z napełnionymi butelkami.

Następnego dnia schodzimy do wsi Nowina słynącej z produkcji drewnianych łyżek. Czeką nas ostatnia przeprawa przez rzekę – tym razem Przysłupiankę. Tam mamy uczestniczyć w nabożeństwie w cerkwi św. Paraskewy. Niestety pod cerkwią nikt się nie pojawia. Mamy za to okazję zobaczyć w końcu cerkiew za dnia. Patrząc wstecz na ostatnie dni, nie było to oczywiste.

Spod cerkwi ruszamy już powoli w stronę miejscowości Uście Gorlickie. Pozostaje nam jeszcze zdobyć jedynie Wierch (inny niż ten poprzedni) oraz Kiczere. Po drodze mijamy hodowlę koni, które bacznie obserwują ze wzniesienia strudzonych podróżników. Za tym pierwszym szczytem znajduje się okazja na ostatnią panoramkę z widokiem na grzbiet Suchej Homoli, szczyty Kopy oraz Czerteżyki. Wydaje się, że koniec naszej podróży jest już bliski. Niedługo powinniśmy znaleźć się na drodze krajowej, którą będziemy musieli dojść do naszego celu podróży – lokalnej restauracji, w której czekał na nas pyszny obiad. W brzuchach burczało coraz głośniejsze, ale niestety za Kiczere po raz ostatni w czasie tej podróży gubimy się. Jeden pipant oglądaliśmy kilka razy. Mimowolnie rozmowy schodzą na temat jedzenia. Kursant-przewodnik jednak się nie poddaje i ostatecznie wyprowadza nas z lasu, prowadząc do drogi krajowej. Udało się! Nie pomrzemy z głodu.

Pierwsza kursówka dobiega końca. Pierwsze prowadzenia, pierwsze gubienie się, pierwsze gawędy, pierwsze rozpalanie ogniska czy pierwsze zejścia do jarów mamy za sobą. Myślę, że wracaliśmy w dobrych nastrojach, z nowymi wspomnieniami oraz wiedzą, która pozwoli nam lepiej nawigować po górach. Jest to dla nas początek pięknej przygody, która – miejmy nadzieję – zakończy się dla każdego otrzymaniem tytułu przewodnika. Nawet jeśli komuś się to nie powiedzie, to miejmy nadzieję, że zostanie z klubem jak najdłużej.

Kursówka 2 – Ta najzimniejsza

Pogoda potrafi zmieniać się bardzo szybko. Podczas jednego weekendu robisz panoramki w krótkim rękawku, a w czasie kolejnego zastanawiasz się, gdzie schowasz wieczorem butelkę wody, by przez noc nie zamarzała. Ewentualnie jak schowasz siebie do śpiwora, by samemu nie zamarznąć.

Złockie w Beskidzie Sądeckim. Tutaj zaczynamy naszą podróż. Z busa wychodzimy prosto na zaśnieżony podjazd. Dla znacznej większości uczestników to pierwsza kursówka – od razu w nieco trudniejszych warunkach niż w ubiegłym tygodniu. Czy buty nie przemokną? Czy nie zmarzniemy? Niektórzy mają przygotowane podgrzewacze, inni założone kilka par skarpet. Każdy przygotował się po swojemu na warunki, które nas czekały.

Ruszamy w stronę bazy namiotowej SKPB Łódź. Droga prowadzi szlakiem Sadzonego Jajka. Jeśli ktoś jest chętny poznać historię tej nazwy, będzie musiał wrócić tu w sezonie, gdy baza będzie działała. Nam pozostają jedynie domysły. Znajdujemy tam dach nad głową oraz dobre miejsce na ognisko, na którym możemy przyszykować śniadanie. Ekipa jarowa ma szczęście – jar jest tuż obok. Ekipa zbierająca drewno może się

wykazać wiedzą na temat rodzajów drzew zdobytą na wykładzie, ponieważ po drewno weszli do lasku, gdzie świerki mieszały się z modrzewiem. Wszystko idzie gładko. Ognisko rozpalone, śniadanie przygotowane. Poznajemy smak wędzonej owsianki. Czasami musimy się uczyć na własnych błędach. Następnym razem na pewno uda się to lepiej przygotować. Grunt, że możemy się najeść i pełni sił ruszyć w drogę.



Kierujemy się grzbietem na pobliski szczyt Wielki Łazek. Tam kursanci dostają cenną lekcję tego, jak określać, czy są na grzbiecie, czy są na szczycie. Niedługo potem zmierzamy na północ, gdzie dochodzimy do Nowińskiej Góry. Oprócz ambony na szczycie, która patrzy na nas podejrzliwie okiem kamery, możemy zobaczyć piękną panoramę z masywem Jaworzyny Krynickiej. Tutaj przychodzi czas na naukę panoramki oraz obsługi kompasu. Od północy widzimy charakterystyczny szczyt Jaworzyny Krynickiej oraz kolejno Bystry Wierch, Palenicę, Szczawną Górę, Smereczyny, aż po Jastrzębską Górę. Wtedy jeszcze nie wiemy, że niektóre z tych szczytów zdobędziemy, a niektóre będziemy próbowali zdobyć.

Zmierzamy stamtąd w stronę wsi Jastrzębik, którą chcemy jedynie przeciąć, by móc po jej drugiej stronie zjeść lunch. Chcemy go zjeść jeszcze, gdy będzie widno, przed podejściem na szczyt Palenicy. Postój zaczyna się, gdy jest jasno, a kończy się, gdy jest ciemno. Myślę, że możemy śmiało uznać to za sukces. Zanim wejdziemy w las, oglądamy z oddali podświetloną cerkiew św. Dymitra. Podejście nie jest trudne. Szybko docieramy do szczytu Palenicy. Gdy spoglądamy na północny zachód, między drzewami majaczy nam drobne czerwone światło wieży telewizyjnej znajdującej się na Jaworzynie Krynickiej. Dzięki temu łatwiej się nam odnaleźć w terenie. Zdaje się, że dzięki temu łatwiej nam będzie ruszyć ku następnemu celowi. Instruktorzy mają już jednak na to swój własny plan. Wyznaczają jedną z kursantek na przewodniczkę, ale tym razem nie dowiadujemy się, gdzie idziemy. Mamy sami śledzić mapę i określać, gdzie jesteśmy. Nasz nowo wskazany przewodnik prowadzi pewnie przed siebie, ale tej samej pewności nie ma wśród wszystkich kursantów. Niektórzy niepewnie spoglądają na kompas. Słychać szepty pytające o miejsce, w którym się znajdujemy. W pewnym momencie zatrzymujemy się na szczycie, który mamy wskazać instruktorom na mapie. Wskazujemy mniej lub bardziej poprawnie, ale nikt z nas nie jest jeszcze

gotowy na nadchodzący przemarsz.

Teoretycznie znajdujemy się na Szczawnej Górze. Chcemy zejść do pipantów znajdujących się na wschodzie od szczytu. Oczywiście chcemy iść grzbietem. Krzaków się nie boimy, a omijanie dróg nie jest dla nas niczym nadzwyczajnym. Jednak w ciemności rozświetlanej przez światła czołówek przejście przez młodnik okazuje się nieco trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Przemę naprzód, ale po drodze jesteśmy smagani gałęziami po twarzach. Na całej długości naszej grupy słychać pojedyncze syki lub ostrzeżenia odnośnie do strzelających gałęzi. Staramy się nie zatrzymywać, bo miejsce jest ciasne, nieprzyjemne i niewygodne. Na szczęście nie trwa to długo i nieco poharatani wychodzimy z gęstwiny na małą przełęczkę. Tę część trasy określamy jako zejście przez turbokrzaki.

Po raz pierwszy słyszę zrezygnowane głosy wśród kursantów. Niewątpliwie okoliczności pogodowe mocno się do tego przyczyniają. Jest już całkowicie ciemno, a co za tym idzie, zaczęło się robić znacznie zimniej. Niektórym zaczynają przemakać buty. Inni są już nieco zmęczeni po przedzieraniu się przez młodnik. Robimy trochę dłuższą przerwę, by lepiej się odnaleźć w terenie. Kolejne prowadzenie kończymy w tym samym miejscu. To się zdarza. Nocne prowadzenia nie są łatwe. Grupa jarowa kieruje się po wodę, reszta zaczyna szykować namioty oraz kolację. Oczekując na grupę z jaru, wykorzystujemy wodę zebraną przy wcześniejszym ognisku. Grupa już od dłuższego czasu nie wraca. W mojej głowie pojawiają się pierwsze myśli o ekipie poszukiwawczej – oby nie była potrzebna... W końcu grupa po długim czasie wróciła z butelkami pełnymi wody, choć wydawałoby się, że misja zakończy się niepowodzeniem. Jednak mamy sukces, mimo że tym razem trafili na stromy jar, z którego ciężko było się wygrzebać z pełnymi butelkami wody. Dzięki nim śniadanie dnia następnego będzie można przygotować sprawnie. Nadeszła pora snu. Najzimniejsza noc. Na zewnątrz temperatura sięgała -8°C , a może nawet -10°C . W końcu o tej porze im wyżej, tym zimniej. W kilku warstwach ubrań, z podgrzewaczami, z termoformami, w dwóch śpiworach, w kurtkach. Tak by przetrwać tę noc i chociaż trochę się przespać.

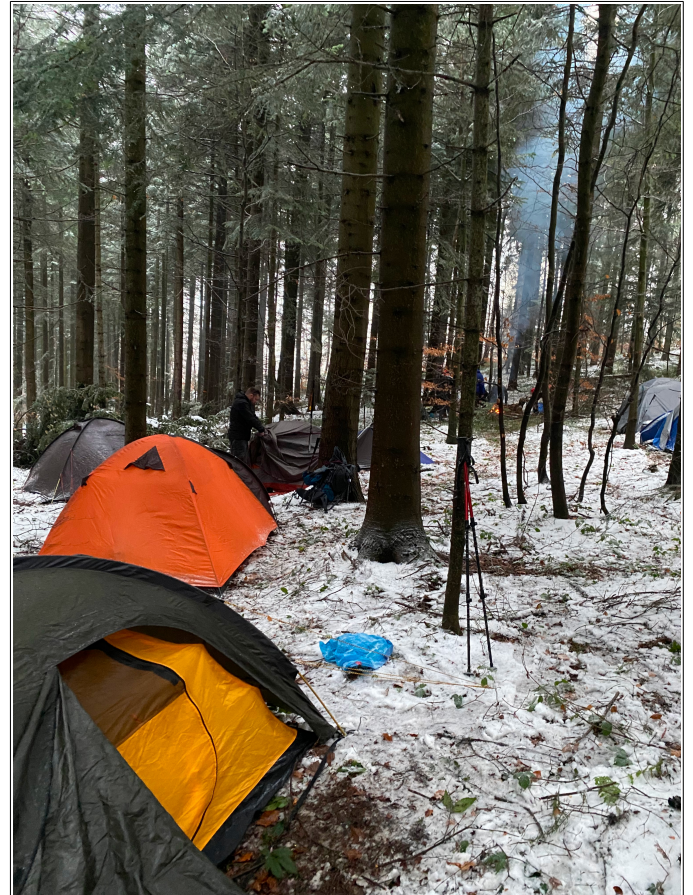
Poranek był... rześki. Dało się słyszeć ciche głosy niezadowolenia związanego z przemarznięciem. Sam oświadczyłem, że nie ma bardziej stawiającej na nogi pobudki niż włożenie stóp do zamrożonego buta. Sznurówki sterczące niczym anteny zwiastowały to, co będę przeżywał przez najbliższe pół godziny. Jedyne, co nie zamrzło, to butelka wody schowana do śpiwora. Jest to dla mnie nauczka na przyszłość. Schowanie butelki wody do śpiwora to dobry pomysł. Schowanie butów – jeszcze lepszy. Nie ma jednak co nad tym za dużo rozmyślać. Trzeba szykować ognisko i śniadanie, które poprawi nastrój i rozgrzeje. Poza tym ruch to był najlepszy sposób na to, by poczuć odrobinę ciepła w butach.

Rano po śniadaniu dzielimy się gawędami. Pobudzają one nas do poważnych rozmów oraz wymiany przemyśleń. Zapominamy o mrozie, który nas trzymał w nocy, i ruszamy w stronę szczytów Smereczyny oraz Jastrzębskiej Góry. Na ten drugi już nie dojdziemy. Nieco wcześniej schodzimy na drogę, z której kierujemy się do Powroźnika. Tam będzie czekał już na nas bus, który zawiezie nas do

Krakowa. Zarówno w busie, jak i potem w pociągu, jeszcze długo będziemy rozmawiać między sobą na najróżniejsze tematy. Od opowiadań o zagranicznych podróżach po rozmowy o algebrze oraz nieskończoności. O mrozie ubiegłej nocy już nikt nie pamięta.

Kursówka 3 – Ta najtrudniejsza

Wyjazd w Gorce. Trzeci wyjazd kursowy. Trochę inny niż poprzednie. Są tacy, którzy pojechali po raz pierwszy. Znajdą się tacy, którzy byli na kursie w ubiegłym roku. Będą również tacy, którzy są drugi lub trzeci raz w tym roku. Początkowe warunki pogodowe nie są złe. Nie zapowiadają jeszcze tego, co będzie działo się potem.



Zaczynamy w Szczawie, skąd ruszamy na stromy szczyt pobliskiej Kiczory. Pewni siebie zmierzamy na północny zachód, aby przekroczyć rzekę Głębień oraz dostać się na Wielki Wierch. Idziemy sprawnie. Posiłek wypada jeszcze przed zdobyciem szczytu. Największym problemem do tego momentu okazuje się być błoto. Temperatura nieco na plusie. Śnieg mokry. Łatwo o poślizg lub wpadnięcie w kałużę. U niektórych pojawiają się obawy, że buty szybko zaczną przemakać. Już po posiłku niektórzy zaczynają suszyć i grzać stopy w ciepłe ogniska.

Po posiłku ruszamy w stronę Wielkiego Wierchu. Blisko szczytu pojawiają się pierwsze niepewności. Różne mapy różnie wskazują miejsce położenia szczytu. Jeszcze inne, mimo że są z jednego wydawnictwa, wskazują inaczej wysokość danych szczytów. Sąsiadujące szczyty niewiele różniące się wysokością tworzą długi grzbiet, w którym ciężko odnaleźć właściwy szczyt. Miejsce nie jest łatwe. Zaczynamy krążyć w poszukiwaniu właściwego szczytu. W międzyczasie robi się już kompletnie ciemno.

Zaczyna pojawiać się delikatna mżawka. W czasie przerw zaczyna doskwierać mróz. Pogoda zdecydowanie nie rozpieszcza. Zaczynam tęsknić za suchym mrozem z ubiegłego tygodnia.



Gdy w końcu ustalamy szczyt Wielkiego Wierchu, możemy ruszać na południe w stronę Kiczory Kamienieckiej. Idziemy żwawo i pewnie mimo coraz bardziej pogarszającej się pogody. Szczyt zdobywamy bez większych przeszkód i możemy kierować się w dół w stronę Magurzyca. Schodzimy początkowo grzbietem. Potem trochę go odpuszczamy, kierując się na południe. W związku z narastającą stromością zejścia i stale nieprzyjemną pogodą przewodnik wraca na grzbiet. Mijamy wieżę telewizyjną, która rozświetla niebo wściekłą czerwienią. Widok niczym z innego świata. Próbuje uchwycić telefonami ten błysk czerwieni, ale nie zatrzymujemy się na dłużej. Idziemy dalej w dół. Pogoda nie zachęca do postojów. Docieramy w końcu do odsłoniętego terenu. Wszystko zgodnie z mapą. Deszcz ze śniegiem zaczyna smagać nasze twarze. Czuję powiew wiatru. Robi się bardzo nieprzyjemnie. Niektóre czołówki świecą na zaledwie kilka metrów w przód, nie rozświetlając dalszej drogi. Mijamy polanę i schodzimy dalej w dół. Ubrania zaczynają niemiłosiernie namakać. Po chwili zastanawiam się, czy ktokolwiek ma na sobie jeszcze coś suchego. Gubimy się. Trafiamy pomiędzy dwa jary. Trzeba zawracać. Nie robimy przerwy. Przewodnik zdaje sobie sprawę z popełnionego błędu i chce czym prędzej wyprowadzić ludzi z tego miejsca. To już przychodzi bez żadnego problemu. Wychodzimy stamtąd wszyscy przemoczeni i zmarznięci. Niedługo potem rozbijamy obóz. Zziębnięci przygotowujemy miejsce na ognisko, przy którym będziemy się jeszcze długo grzać przed schowaniem się w namiotach. Kolacja po takiej trasie smakuje wyśmienicie.

Nie możemy się zrażać. Nie zawsze będziemy maszerować w słońcu czy po prostu przy pięknej pogodzie.

Może niektórzy z nas zaczęli sobie nawet zadawać pytania – co ja tutaj właściwie robię? Po co ja właściwie to robię? Te chwile wątplenia będą zapewne nachodzić nas wszystkich raz na jakiś czas. W końcu jednak idziemy razem, wzajemnie się wspierając. Zdecydowana większość z nas pojedzie jeszcze na kolejne wyjazdy kursowe, nie zważając na szykujące się warunki pogodowe. Nie ma kryzysów, których nie jesteśmy w stanie sami zwalczyć.



Następnego dnia, po złożeniu mokrych namiotów, ponownie ruszamy ku Magurzyca. Tym razem docieramy tam bez kluczenia. Niewiele dalej odsłania się polana na przełęczy, z której widać ukryty w chmurach Gorc. Dalsza droga na szczyt jest stroma, ale idziemy już szlakiem, tak więc nie grozi nam zgubienie się. Mijamy baczówkę na Gorcu Kamienieckim, aż w końcu dochodzimy do potężnej wieży znajdującej się na właściwym szczycie. Cała pokryta szadzią daje dach nad głową i staje się naszym miejscem odpoczynku. Niektórzy wdrapują się na szczyt wieży podziwiać widoki, ale te mogą zobaczyć jedynie na panoramach umieszczonych przy poręczach wieży. Gęste chmury położone są bardzo nisko, nie dając szans na zobaczenie choćby panoramy Tatr.

Pozostaje dostać się do Ochotnicy Dolnej. Pokonujemy po drodze Mrażnicę oraz masyw Strzelowskie. Z początku grzbietem, potem trawersując ze względu na ilość gałęzi i połamanych drzew na grzbiecie. Tego dnia wędrowka przebiegała już bez problemów. Humory mieliśmy lepsze. Nagrodą za wszystkie trudy tej wycieczki była klasyczna kursówkowa pizza, którą mogliśmy zjeść w przesadnie eleganckiej restauracji. Na szczęście obsługa nie wystraszyła się naszej licznej grupy. Nasza podróż dobiegła tam końca. ■

Relacja z Rajdu Jesiennego

Joanna Gecow



Długo wyczekiwaliśmy takiego rajdu, żeby móc spotkać się w tak dużym gronie w jednym schronisku, przy jednym ognisku. Dopisało wszystko, jak na zamówienie: pogoda, frekwencja, temperatura. W sobotę można było wręcz odczuć ostatnie podrygi lata, a to przecież był już październik! Temperatura około 20 stopni Celsjusza, piękne słońce, cudne jesienne kolory na drzewach. Miód na serce. Pieniny tego dnia przeżywały prawdziwe obłężenie. Dobrze, że rezerwację schroniska mieliśmy dokonaną już w kwietniu, bo w weekend telefon do schroniska dzwonił bez przerwy – każdy chciał zarezerwować tę jedną noc. Zaś frekwencja klubowiczów i sympatyków przerosła najsmielsze oczekiwania. W sumie na 5 trasach wędrowało 70 osób! Pewnym novum (choć w historii rajdów chyba już miała miejsce podobna inicjatywa) była trasa rodzinna, która cieszyła się ogromnym zainteresowaniem.

Do ostatniego momentu to właśnie ekipy rodzinne łątały luki po osobach, które musiały zrezygnować. Mówiąc więc bardziej precyzyjnie, w rajdzie wzięło udział 59 dorosłych osób i 11 dzieci w wieku od 2,5 miesiąca do 5 lat. Trzeba przyznać, że momentami w schronisku było... głośno.

W sobotni wieczór spotkaliśmy się wszyscy przy ognisku, by pośpiewać, porozmawiać, pobyć ze sobą. Była to też kapitalna okazja, by przyjąć w poczet Przewodników SKG dwie kolejne osoby: Dorotę Wieluńską oraz Venky'ego Sonti. Raz jeszcze serdeczne gratulacje!



Drugi dzień rajdu był nieco chłodniejszy i mniej słoneczny, ale przynajmniej suchy, co na pewno każdy uczestnik docenił. Najmniej przyjemnym elementem był powrót do Warszawy – po pierwsze, bo jak tu wracać, gdy wzroku od jesiennych gór oderwać nie można, a po drugie, korki. Oj tak, Pieniny w ten weekend przeżywały prawdziwe obłężenie...



Kto nie był, niech żałuje, a może lepiej niech rezerwuje już czas na Rajd Wiosenny, który będzie organizowany w podobnej formule. Do zobaczenia! ■